

Andrzej Nowak
Uniwersytet Jagielloński

Pruszyński i Wielopolski, albo sztuka kolaboracji

*Triepiet małego pieried bolszym. Przed Imperium.
Które idzie i idzie na zachód, zbrojne w łuki, arkany, pepesze,
Podjeżdżając powozką, grzmocąc kuczera po plecach,
Albo jeepem, w papachach, z kartoteką zdobytych krain.
A ja nic tylko uciekam, od stu, trzystu lat
Po lodzie i wplaw, w dzień, w nocy, byle dalej,
Zostawiając nad rodzinną rzeką pancierz dziurawy i kufer z nadaniami króla,
Za Dniepr, potem za Niemen, za Bug, za Wisłę.*

Czesław Miłosz, *Trwoga – sen* (1918) z tomu *Kroniki* (1987)

Spoglądamy na Ksawerego Pruszyńskiego z perspektywy wyboru, którego symbolem stała się niewielka książeczka napisana przez niego w 1944 roku: *Margrabia Wielopolski*. To wybór kapitulacji wobec siły, która przychodzi znów, raz jeszcze, ze wschodu. I wybór uzasadnienia tej decyzji: tylko tak można coś jeszcze uratować.

Z owej szczególnej perspektywy pierwszymi doświadczeniami, na które w biografii Pruszyńskiego chcemy zwrócić uwagę, są wygnanie i ucieczka z rodzinnych stron – z domu polskiego panicza na ziemiach, które nazywamy Kresami. Wygnanie jest skutkiem rewolucji, która do powiatu starokonstantynowskiego, do rodzinnej Wolicy Kierekieszyny, przyszła ze wschodu, z Rosji, w 1917–1918 roku – i już tam została. Położony za Zbruczem majątek

Pruszyńskich, podobnie jak Żytomierz, w którym Ksawery zaczął naukę – znalazły się poza granicami odrodzonej Polski, ustalonymi w marcu 1921 roku traktatem ryskim. Granice nowej Polski, w której Pruszyński zadowolił się na nowo: w Krakowie, Wilnie i Warszawie – traktat ryski ustabilizował tylko na osiemnaście lat. Drzwi do domu zostały wówczas znowu wyłamane. Tę tymczasowość granicy, przesuwanej wciąż ze wschodu na zachód, odczuwać musiał Ksawery Pruszyński, kiedy pisał swojego *Margrabiego...* Właśnie wtedy, w 1944 roku, Rosja po raz czwarty zagarniała jego rodzinną ziemię: pierwszy raz stało się to w czasie trzeciego rozbioru; drugi – przez Rosję bolszewicką w latach 1917–1921; trzeci – po 17 września 1939 roku. To dojmujące doświadczenie ciągłej, beznadziejnej ucieczki, cofania się dawnej, wielkiej Rzeczypospolitej pod naporem wschodniego imperium znakomicie opisał inny panicz z dworu, z Szetejni – kilkaset kilometrów na północ od Wolicy Kierekieszyny – cztery lata młodszy od Pruszyńskiego Czesław Miłosz w przytoczonym na wstępie wierszu *Trwoga – sen (1918)*.

Przychodzi mi na myśl, wśród setek, a może tysięcy innych zapisów tego tragicznego exodusu, jeszcze jeden, spisany przez rówieśnika Pruszyńskiego, Stefana Kieniewicza, późniejszego wielkiego historyka. Urodzony w 1907 w Dereszewiczach nad Prypecią, w pół drogi, rzecz można, między Szetejniami a Wolicą Kierekieszyną, jako jedenastolatek napisał powieść, w której zebrał świeże wspomnienie wygnania z rodzinnego gniazda przez bolszewicką rewolucję. Powieść nosi tytuł *Bezdomni*. Zaczyna się tak: „Na Ukrainie, nad szumiącą rzeką Dnieprem stał dwór, otoczony pięknymi polami i łąkami – Czahary, należący od wieków do sławnej rodziny...”. Zachowany tekst powieści kończą słowa: „Nie ma nadziei!”¹. Wygnani to bezdomni, którzy pamiętają wielkość i urodę swojego rodzinnego domu, ale uznają, że już nie ma nadziei na powrót. Że carskiego kuczera, a teraz sowieckiego czerwonoarmisty nie da się zatrzymać. Nie ma co dalej uciekać. Jeśli chcemy żyć, trzeba zaakceptować przychodzącą ze wschodu zwierzchność, urządzić w jej cieniu taki nowy dom, w którym będzie się dało mieszkać, może nawet zachowując w nim coś z dawnych pamiątek.

Oczywiście wiemy: nie wszyscy „bezdomni”, wygnani z Kresów po 1917 roku i ponownie po 1939 roku – wybrali tak jak Pruszyński. Niektórzy „bezdomni” dołączą do „niezłomnych”. Musimy więc szukać dalej

¹ S. Kieniewicz, *Bezdomni. Powieść z czasów rewolucji rosyjskiej 1917 roku*, t. 1, Wilczyńska 2007, s. 1, 96.

ważnych drogowskazów na drodze do *Margrabiego Wielopolskiego*. Drugi zobaczył Pruszyński w Krakowie, najpierw na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod opieką profesora Stanisława Estreichera, a zaraz potem w redakcji „Czasu”, w szkole stańczyków, pod patronatem Michała Bobrzyńskiego. To miała być szkoła realizmu, który odzegnując się od powstańczych mrzonek, budował warunki roztropnego porozumienia z zaborcą, by oprzeć na nim możliwości dalszej pracy dla Polski. Pruszyński z pasją bronił owej szkoły w kilku tekstach w ostatnich latach II RP, między innymi we wspomnieniu o Bobrzyńskim w roku 1935 czy w *Zaduszkach wielkiego pisma*, poświęconych „Czasowi”, w roku 1938². Co mu imponowało w nauce i postawie stańczyków? Po pierwsze: odwaga powiedzenia „nie!” dominującej opinii publicznej – „romantycznej, demagogicznej, lewicowej”, swoisty nonkonformizm, który wbrew owej opinii – pomaga porozumieć się z zaborcą. Oczywiście w II RP nie było problemu zaborcy, pozostawał zatem dumny nonkonformizm, pozwalający iść w przeciwną stronę, niż chciałaby opinia publiczna, lub, innymi słowy, większość demokratyczna. Doskonale łączyła się taka apologetyka odwagi cywilnej stańczyków z ich naczelną tezą historiozoficzną, iż to Polacy sami sobie są winni swoich politycznych nieszczęść, agresywni sąsiedzi i ich imperialna polityka nie są w tej analizie polskiego „realizmu” ważni. Rzeczywisty problem stanowią tylko Polacy, z którymi nic nie można zrobić, co najwyżej dla nich i – wbrew nim. To druga lekcja szkoły krakowskiej. Z nią organicznie łączy się trzecia: pochwała silnej władzy. Skoro społeczeństwo polskie jest takie ciemne, trzeba je „wziąć za pysk” i trzymać krótko. Przez to, że zabrakło na to siły i determinacji w I Rzeczypospolitej – musiała ona upaść. Żeby II Rzeczpospolita nie upadła, potrzebny jest „geniusz Wodza”, a przynajmniej „silny rząd”, niezależny od opinii publicznej.

To podobało się także, jak wiadomo, samemu Piłsudskiemu – ale dopiero w niepodległej Rzeczypospolitej. Wtedy, to jest w roku 1924, mógł Piłsudski

² Zob. K. Pruszyński, *Michał Bobrzyński*, „Słowo” 1935, nr 187; tenże, *Zaduszki wielkiego pisma*, „Wiadomości Literackie” 1938, nr 50; oba teksty cytuję za: tenże, *Niezadowoleni i entuzjaści. Publicystyka*, t. 1: 1931–1939, wybór G. Pyka, J. Roszko, Warszawa 1990, s. 290–298, 615–626. Por. opinię Stanisława Mackiewicza, który także wpływowi tradycji szkoły krakowskiej i jej bezpośredniego kontynuatora, profesora Stanisława Estreichera, mistrza Pruszyńskiego na UJ, przypisuje istotny wpływ formacyjny na autora *Margrabiego Wielopolskiego*: S. Mackiewicz, *Zamiast wstępu* [w:] K. Pruszyński, *Margrabia Wielopolski*, wyd. II krajowe, Warszawa 1957, s. 18–19.

przywołać „spiżową postać” margrabiego Wielopolskiego jako wzór silnego polityka, nierozumianego przez „skarłałe” społeczeństwo. „Wielkości, gdzie twoje imię? Największe imię to margrabia! Chciałem go kochać za wielkość, bo miał on dumę i godność swego narodu. Padł pod siłą pogardy, gniewiony często potwarzą nienawiści”³. Sam, po złożeniu wszystkich urzędów, tak właśnie czuł się Piłsudski w 1924 roku. I wtedy, inaczej niż przed 1914 rokiem, w czasie walki o niepodległość, kiedy nie znajdował dla Wielopolskiego żadnego usprawiedliwienia, jakby zaczął się z nim utożsamiać. Różnica między nim a Wielopolskim była jednak taka, że Piłsudski – dążąc do objęcia steru wyłącznej odpowiedzialności za Polskę w 1926 roku – nie musiał szukać wsparcia w żadnym obcym mocarstwie, nie groziło mu przekształcenie w narzędzie polityki jednego z sąsiadów (zaborców)...

Ta oczywista, fundamentalna różnica zatarła się jakby w momencie nowego, traumatycznego dla pokolenia Pruszyńskiego doświadczenia: września 1939 roku, nagłego, strasznego upadku niepodległej II RP, nagłego końca marzeń o imperium z silnym i niezależnym od społeczeństwa, a w każdym razie stojącym wysoko ponad nim rządem. Dla panicza wygnanego ze swej małej ojczyzny za Zbruczem Marszałek i tworzona przez niego Polska były wszak obiektem nie tylko kultu, ale także nadziei, że on rozumie kresowców, że może jeszcze uda się z jego programem i siłą w rękę „mój kraj wyzwalać”. Tak przecież pisał Pruszyński na gorąco o swoich emocjach, kiedy jako przedstawiciel nowej, młodej elity II RP stanął przed Piłsudskim w Belwederze w noc listopadową 1931 roku⁴. I oto we wrześniu 1939 roku to nie Rzeczpospolita wróciła za Zbrucz, tylko sowieckie imperium dopomogło zniszczyć Polskę i przesunęło znowu swoje granice na zachód, przez Zbrucz, w stronę Sanu, już niedaleko Wisły.

„Jak domek z kart...” – ta metafora była autentycznie, boleśnie przeżywana. Pruszyński szedł jednak walczyć dalej – przez Węgry, Jugosławię, Włochy, do odtwarzanego we Francji Wojska Polskiego – z nadzieją na to, że wróci do polskiego domu, że dom zostanie odbudowany. W odtworzonym we Francji „Słowie” Mackiewicza mierzył się wiosną roku 1940 z doświadczeniem klęski II RP. Tytuł jednego z artykułów Pruszyńskiego: *Kult ruiną, legenda przetrwa* – wiele mówi o próbie ocalenia przynajmniej legendy. To była legenda Piłsudskiego jako jedyne go męża stanu, który przewidział,

³ J. Piłsudski, *Rok 1863*, Warszawa 1924, s. 33–34.

⁴ Zob. K. Pruszyński, *W Belwederze*, „Czas” 1931, nr 279 [w:] tegoż, *Niezadowoleni i entuzjaści*, dz. cyt., s. 62–63.

że bez odzyskania Kijowa, a ściślej bez odepchnięcia Rosji za Dniepr, Polska nie będzie bezpieczna. Kiedyś Polacy nie chcieli pójść za Piłsudskim, by dać wolność Białorusinom i Ukraińcom, odgrodzić się przy ich pomocy od imperium ze wschodu, a teraz skazani są na walkę z owym imperium już nie o Kijów, ale o Łomżę – pisał gorzko Pruszyński, w słowach nieodległych od poetyckiego ujęcia Miłosza, które przytoczyliśmy na wstępie⁵. Jest w tym tekście jakby podskórna złość: skoro ci Polacy to tacy durnie, że nie potrafili zrozumieć znaczenia Kresów ani ich obronić w nowej, federacyjnej formie, sami są sobie winni, że teraz ich domek się rozpadł, że stają bezradni, już nie, jak przed wiekami, w Bramie Smoleńskiej czy kijowskiej Złotej Bramie, ale na podwórku w Łomży czy w Rzeszowie.

Obrońcy polskich nadziei na powrót do domu zostali zepchnięci dalej, z podbitej przez Hitlera Francji na Wyspy Brytyjskie. Pruszyński dostrzegł wówczas, już na początku 1941 roku, razem z ministrem rządu polskiego w Londynie, Janem Stańczykiem, że Wielka Brytania nie będzie „umierała” za polski Lwów ani polskie Wilno, że „Anglicy są w wojnie z Niemcami, a gdy chodzi o Rosję, daliby wiele, by wciągnąć ją do wojny po stronie Anglii”⁶. Anglicy mogli dać Rosji, Stalinowi, właśnie polski Lwów, Wilno, wschodnią połowę II RP. Kresowiec ze szkoły krakowskich „realistów” rozumiał, wyczuł może bardziej, że powrót do domu może być niemożliwy, w każdym razie trudno karmić się nadzieją, gdy jedyną jej podstawą jest pomoc mocarstwa zachodniego, dla którego granice polskiego domu ani nawet samo jego istnienie nie są zasadniczo ważne. W tym momencie, na progu roku 1941, Pruszyńskiemu pozostawało to, co innym „niezłomnym”: protest, walka do końca, nadzieja wbrew prawdopodobieństwu. A jednocześnie, jako wierny uczeń profesorów z Krakowa, chciał pokazać, że widzi dalej niż jego naiwni koledzy, towarzysze niedoli. Widział niebezpieczeństwo i mówił o nim głośno, ale żadnego „realnego” rozwiązania jeszcze nie miał.

Zaczął je dostrzegać, a w każdym razie możemy stwierdzić, że zapragnął je zobaczyć, kiedy Związek Sowiecki, zaatakowany przez Hitlera w czerwcu 1941 roku, stał się sojusznikiem: najpierw sojusznikiem Wielkiej Brytanii, a wkrótce, po zawarciu układu Sikorski–Majski, także formalnie sojusznikiem Polski. Wtedy już Pruszyński nie dopominał się o wyraźne

⁵ Tenże, *Kult runął, legenda przetrwała*, „Słowo” (Paryż) 1940, nr 10 [w:] tegoż, *Powrót do Sopolicowa*, t. II: 1940–1948, wybór tekstów G. Pyka i J. Roszko, Warszawa 1990, s. 24–25.

⁶ Tenże, *Sprawa, o której się nie mówi, a o której powinno się krzyknąć*, „Wiadomości Polskie” 1941, nr 5 [w:] tegoż, *Powrót do Sopolicowa*, dz. cyt., s. 100–104.

postawienie sprawy uznania granicy z 1921 roku, pozostawiającej po stronie Polski Lwów i Wilno. Wkrótce po zawarciu układu, w sierpniu 1941 roku, pojechał jako attaché prasowy ambasady polskiej do Moskwy, potem do Kujbyszewa. Został dziennikarskim apologetą polityki porozumienia, której twarzą był Sikorski, porozumienia ze Stalinem, porozumienia niezważającego na niebezpieczeństwo, o którym sam Pruszyński tak głośno wołał kilka miesięcy wcześniej. Autor *Trębacza z Samarkandy* znów wydobyl z siebie głębsze pokłady „realizmu”. Jego podstawą było to stwierdzenie: „będę pisał o Rosji, która zawsze będzie naszym sąsiadem”⁷. Rosja była więc losem Polski. Pruszyński nie pozostawiał innego wyjścia, jak fatalistycznie poddać się losowi – i poszukiwać dobrych stron zaistniałej sytuacji, choćby przez porównanie. Oczywiście w 1941 roku jest to porównanie z Niemcami. Sąsiedztwo z Rosją, nawet tą stalinowską, przynosi – pisał Pruszyński – mniej zła od sąsiedztwa „najbardziej odrażającego”, z pruskim potworem. Pruszyński odkrył wtedy, że przecież nie wszystko było takie groźne w stosunkach Polski z Rosją, że trzeba wyjść poza pewien historyczny stereotyp (ten sam, który przywoływał jeszcze w 1940 i w pierwszej połowie 1941 roku, kiedy pisał o Rosji jako największym, śmiertelnym zagrożeniu dla Rzeczypospolitej i wspierał swym piórem rację zasadniczo antyrosyjskiej polityki Piłsudskiego). Przypominał o czasach polsko-rosyjskiego sojuszu: w XVII i XVIII wieku – tak jest, Pruszyński nazywał sojuszem nawet politykę imperialnego uzależnienia Polski przez Rosję Piotra Wielkiego i jego następczyni... I pocieszał swoich czytelników, że w XIX wieku w Rosji byli nie tylko polscy zesłańcy, ale także wielu Polaków zrobiło tam wspaniałe kariery – jako inżynierowie, kupcy, przedsiębiorcy. Nie wspominał tylko, że to było w czasie, kiedy Polski nie było, bo 82% terytorium Rzeczypospolitej zajęło imperium carów. Pruszyński pisał teraz tonem neofity, który odkrywa nową wiarę: „Jakże wielka, jakże inna jest Rosja”⁸.

Rosja była inna od tego, co zobaczyli w niej powracający z armią Andersa byli więźniowie GUŁagu, inna niż to, czego dowiedzieli się o niej także ci więźniowie Starobielska, Ostaszkowa, Kozielska, którzy już pozostali tam na zawsze. Pruszyński skonfrontował własną wizję polityczną z tym martyrologicznym widzeniem Rosji sowieckiej w swoim najważniejszym

⁷ Tenże, *Wrażenia rosyjskie*, „Wiadomości Polskie” 1942, nr 2 [w:] tegoż, *Powrót do Sopllicowa*, dz. cyt., s. 171.

⁸ Tamże, s. 174.

chyba w całej karierze artykule: *Wobec Rosji*⁹. Posunął w nim relatywizację grozy realnego doświadczenia Polaków wziętych w obcęgi sowieckiego systemu znacznie dalej niż w poprzednich tekstach, gdy zestawiał je z nie mniej bestialskim doświadczeniem niemieckiej okupacji i terroru. Teraz odważył się napisać słowa straszne, w szyderczym tonie podważające właśnie realność wiedzy o Rosji tych, którzy inaczej niż on, poznawali ją nie od momentu podpisania układu Sikorski-Majski, ale wcześniej, na własnej skórze. Pisał tak:

Jeśli chodzi o katedry wiedzoznawstwa o Rosji, obawiać się bardzo należy tego, czy Polacy, którzy przybyli teraz z Rosji, aby na pewno ją znają. Musimy pamiętać, że ci ludzie znają Rosję od jednej strony, a mianowicie od strony więzienia. Więzienie zaś nigdy i nigdzie nie nastraja ludzi pozytywnie do kraju, z którego systemem penitencjarnym zapoznali się praktycznie. Polak, który przebyłby przez te dwa lata w angielskich więzieniach, nie byłby zbyt gorącym zwolennikiem Wielkiej Brytanii, Polak, który by na podstawie swych obserwacji więziennych wyrokował o całości tego kraju, nie uchodziłby w naszych oczach za znawcę przedmiotu. Niewątpliwie, Rosja sowiecka trzyma się wojennie i organizacyjnie znacznie lepiej, niż to sądziłiśmy wszyscy czy niemal wszyscy. Ten fakt powinien nas skłonić do poważniejszych rozmyślań¹⁰.

Zwróćmy uwagę na kilka punktów. Po pierwsze, autor tych słów sugeruje, że on po kilku tygodniach pobytu w Moskwie pod opiekuńczymi skrzydłami gospodarzy Kremla (i Łubianki) może lepiej znać „wieczną Rosję” aniżeli ci, którzy w niej, w jej sowieckiej (per)wersji, spędzili lata w innych warunkach, bardziej „polowych”, rzecz można. To chciałbym w pierwszej kolejności zaakcentować w swojej analizie: to poznawcza pycha reportażysty, który rzuca okiem na odwiedzany przez siebie kraj i jest przekonany o tym, że wie lepiej, jak tam jest. To także poznawcza pycha ucznia krakowskich stańczyków, którzy zawsze wiedzą lepiej od pouczanego przez siebie intelektualnego „plebsu”, jaka jest istota rzeczywistości. Pruszyński pisał w swoim artykule, że już wie, kto będzie rządził Rosją i jak nią będzie

⁹ Tenże, *Wobec Rosji*, „Wiadomości Polskie” 1942, nr 40 [w:] tegoż, *Powrót do Soplicowa*, dz. cyt., s. 230–239; por. R. Habielski, *Polski Londyn 1945*, „Dzieje Najnowsze” 2005, z. 4, s. 68–69.

¹⁰ K. Pruszyński, *Wobec Rosji*, dz. cyt., s. 233–234.

rządził w najbliższych latach: to będą uderzający go „inteligencją, samodzielnością myślenia, solidnością rozumowania”, obdarzeni „wyczuciem społecznym, młodością, energią”, „chwalebłą powściągliwością manier”, „skromnością” oficerowie sowieckiej armii¹¹. Nie będzie żadnego systemu stalinowskiego, będzie nowoczesna Rosja, sąsiad jak inne państwa, tylko wyjątkowo potężny.

Po drugie, i ta figura retoryczna jest po prostu moralnie odrażająca, Pruszyński starał się „zmiękczyć” pamięć rzeczywistego losu Polaków pod okupacją stalinowską po 17 września 1939 roku sugestią, że w Anglii Churchilla mógł być ten los analogiczny, tylko przez przypadek nie był. Do tej pory nie dotarły co prawda żadne informacje o istnieniu brytyjskiego „GUŁagu” z setkami tysięcy ofiar ani też nie było nic wiadomo o żadnym angielskim Katyniu (w 1942 roku nie wiadano też o Katyniu sowieckim, ale wiadano już, że „brakuje” kilkunastu tysięcy polskich oficerów, którzy gdzieś się zawieruszyli w sowieckich więzieniach czy obozach...). Wyjątkowa w swym cynizmie próba relatywizacji sowieckich zbrodni na Polakach, dokonanych zaledwie w ostatnich kilkunastu miesiącach, a nie przed wiekami, była Pruszyńskiemu potrzebna w imię – i to trzeci, najważniejszy punkt tego rozumowania – „realizmu”: Rosja sowiecka sprawdza się znakomicie pod względem organizacyjnym i wojennym, a więc będzie raz jeszcze czynnikiem decydującym o przyszłości Polski. Wniosek nienaganny logicznie, zawierał jednak jeden błąd historyczno-polityczny: trzeba było uwzględnić, że miarą organizacyjnego i wojennego sukcesu Rosji (sowieckiej) było także takie, a nie inne postępowanie wobec Polaków po 17 września i sposób rozgrywania przez Stalina sprawy polskiej; że jednym z celów owej sprawności i skuteczności maszyny sowieckiego imperium mogło być po prostu podporządkowanie Polski, wszelkimi środkami. Bez tego elementu rzeczywistego, świeżego doświadczenia, w tym konkretnie punkcie nieuchronnie kulał „realizm” ucznia Bobrzyńskiego.

Pruszyński nie zauważał tego albo przynajmniej przymykał oczy na ten problem – i dlatego mógł iść dalej w omawianym tutaj artykule *Wobec Rosji* torem swej „geo-logiki”. Skoro Rosja Stalina pokazała, że odegra kluczową rolę dla przyszłości Polski, trzeba to uwzględnić w refleksji nad ułożeniem z nią relacji w taki sposób, by zdobyć przychyłność Stalina. Do tego, jakże naiwnie wierzył Pruszyński, „wystarczy” zmiana granic, zamiana Wilna i Lwowa na Szczecin i Wrocław. Namawiając do podjęcia takiej decyzji,

¹¹ Tamże, s. 231–232.

Pruszyński znów uderzył w swoje ulubione tony o wielkim człowieku, który powinien stanąć ponad narodem, by za naród (który znów nie dorósł do zrozumienia swoich interesów i potrzeb) i nawet wbrew narodowi podjąć jedynie słuszną decyzję. Tę, którą odkrył właśnie attaché prasowy ambasady polskiej w Kujbyszewie... Pisał zatem: „Trzeba być Chrobrym, Piotrem Wielkim, Kemalem Paszą. Trzeba brać na swe barki decyzję za cały naród i na całe stulecia; trzeba ciąć i łamać”¹². I tu analogie historyczne również się nie sprawdzają. Chrobry, Piotr Wielki i Kemal Pasza nie „ciął” ani nie „łamali”, by oderwać pół terytorium państwa, którym rządzi, i przekazać je potężnemu sąsiadowi, ale walczyli ze wszelkich sił, aby swoje państwo powiększyć, podbić tyle terytorium, ile tylko się da. Ani Chrobry, zdobywca Kijowa, ani Piotr Wielki, ani Kemal nie nadawali się na patronów decyzji o kapitulacji wobec potężnego sąsiada, na patronów „roztropnej kolaboracji”. Musiał Pruszyński takiego patrona szukać gdzie indziej.

Na ścieżkę takich poszukiwań popchnęła go reakcja na jego prowokacyjny tekst. Polscy czytelnicy zwrócili uwagę przede wszystkim na sugestię rezygnacji ze wschodnich ziem II RP, zajętych na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow przez Stalina. I to ich oburzyło. Polemiki z Pruszyńskim wypełniły dużą część kolejnych numerów „Wiadomości Polskich”¹³. „Kochany Ksawery” wiedział jednak lepiej – tym lepiej właśnie, im bardziej krytykowali go „krótkowzroczni” koledzy z Londynu. Trafnie zgadywał, że jeśli ktoś chce wrócić z Londynu do kraju po wojnie, musi to zrobić na warunkach, jakie postawi Rosja Stalina. Oszukiwał siebie – i swoich czytelników – co do natury tych warunków. Choć jeszcze w 11 numerze „Wiadomości Polskich” z 1943 roku wydał oświadczenie, w którym zarzekał się, że nie było jego intencją sugerowanie w artykule *Wobec Rosji* „ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji od granic 1939 roku”¹⁴, to jednak w roku 1944, kiedy armie Stalina zajmowały na nowo wschodnie, a potem centralne obszary niedawnej Rzeczypospolitej, Pruszyński wybrał już zdecydowanie „Nową Polskę”. Tak nazywał się miesięcznik redagowany przez Antoniego Słonimskiego. Tak pisał o nim najznakomitszy badacz publicystyki emigracyjnej tego okresu, Rafał Habielski:

¹² Tamże, s. 235.

¹³ Zob. „Wiadomości Polskie” 1942, nr 41 (tu m.in. tekst Zygmunta Nowakowskiego *Kochany Ksawery!*) oraz 1942, nr 43 (tu głosy m.in. Zbigniewa Grabowskiego, Tadeusza Kiersnowskiego, Władysława Wielhorskiego, Ryszarda Wragi [Jerzego Niezbrzyckiego]).

¹⁴ K. Pruszyński, *Oświadczenie*, „Wiadomości Polskie” 1943, nr 11 [w:] tegoż, *Powrót do Sopolicowa*, dz. cyt., s. 310–311.

[...] trybuna wystąpień nie tylko krytyków emigracji uznającej sens istnienia w dalszej walce, ale także tych, którzy rozważali kwestię powrotu do kraju. Dla niektórych z nich „realizm”, pojmowany jako dostosowanie losów jednostkowych do „tak ciężkiego układu rzeczywistości”, stawał się cnotą pierwszorzędного znaczenia, heroizmem bliskim „romantyzmowi”, służbą państwu i narodowi, wartością podjęcia nawet wówczas, gdy w opiniach przeciwników utożsamiany był z oportunizmem¹⁵.

Na łamach „Nowej Polski” ukazał Pruszyński właśnie tak zinterpretowanego bohatera „romantycznej” kolaboracji, „prometejskiego” niemal w swym samotnym cierpieniu wśród społeczeństwa nierozumiejącego jego wielkości i poświęcenia, które polega na wielkiej idei porozumienia z Rosją. Był owym bohaterem margrabia Wielopolski. Historyczny esej o margrabim, drukowany najpierw w odcinkach w „Nowej Polsce”, ukazał się jeszcze w tym samym, 1944 roku w wydaniu książkowym w Londynie, a już dwa lata później w Warszawie. We wstępie do pierwszego wydania Pruszyński wyłożył najkrócej sens swej apologii margrabiego w roku 1944:

Twierdzą, że było wielkością Aleksandra Wielopolskiego, iż zrozumiał, pomimo przeszkód swego czasu, potrzebę współdziałania dwóch największych narodów słowiańskich, że odczuwał grozę niebezpieczeństwa germańskiego, że spojrzeniem dalekim ogarniał zapomniany od stuleci Wrocław, że znając Zachód, jak mało kto w Polsce, nie opierał na nim swej politycznej budowy. Może jednak największą jego wielkością było, iż z raz obranej drogi cofnąć się nie dał, że szedł po niej konsekwentnie...

Na pytanie, dlaczego w roku 1944 przypomnienie tej właśnie sylwetki było potrzebne, odpowiedział Pruszyński dobitnie kilka linijek niżej: trzeba pisać o bezwzględnej konieczności porozumienia z Rosją, ponieważ „losy tej wojny, a z nimi i losy Polski, rozstrzygną się właśnie gdzieś w brzoźowych lasach Karelii, na pylnych drogach wokół Smoleńska...”¹⁶. Dodajmy, że Pruszyński pisał te słowa, wiedząc już dobrze o dokonanych w kwietniu 1943 roku znalezisku masowych grobów polskich oficerów – niedaleko pylnych dróg wokół Smoleńska. Dlatego – wiedząc to i wiedząc dobrze, jak

¹⁵ R. Habielski, dz. cyt., s. 71.

¹⁶ K. Pruszyński, *Margrabia Wielopolski*, wyd. II krajowe, Warszawa 1957, s. 26–27.

cała emigracja, kto kogo tam zabił – musiał podkreślić, że najważniejsza jest w postawie jego bohatera, Wielopolskiego, swoista niezłomność – niezważanie na żadne okoliczności, które mogłyby „z raz obranej drogi porozumienia” z Rosją go zepchnąć.

W owym kluczowym zdaniu ze *Wstępu do Margrabiego...*, które powyżej przytoczyłem, jest jeden zasadniczy błąd i jeden historyczny fałsz. Ten ostatni – to sugestia, jakoby Wielopolski mógłby być patronem ponownego przyłączenia Wrocławia do terytorium Polski, powrotu na „zachodnie, piastowskie” ziemie. Żaden element programu margrabiego nie wskazuje na taką tendencję – to była tylko projekcja Pruszyńskiego, rzutu wstecz na bohatera jego eseju, pożądanego w roku 1944 i wtedy zrozumiałej koncepcji przesunięcia Polski w kierunku Odry. Posunięcie się do takiego fałszerstwa pokazuje tylko raz jeszcze stopień determinacji publicysty, by „nie cofnąć się z obranej drogi...”. Najważniejszy w całej argumentacji, jaką rozwinął w swej książce Pruszyński, jest jednak błąd o porozumieniu „dwóch największych narodów słowiańskich”. I to nie dlatego, że i tutaj, tak jak przy owej smoleńskiej metaforze, musiał Pruszyński pogwałcić swoje sumienie, swoją pamięć – wszak do niedawna był głównym rzecznikiem idei porozumienia polsko-ukraińskiego *p r z e c i w* Rosji. Zasadnicze znaczenie ma to, że do współdziałania potrzebna jest wola obu stron takiego porozumienia, wtedy dopiero ma sens przedrostek „współ”.

To był wspólny błąd – Pruszyńskiego i Wielopolskiego. O tym, do czego dążyła Rosja w czasach Wielopolskiego i dlaczego nie można w tym okresie mówić o woli czy próbie współdziałania z polskim społeczeństwem – napiszę nieco obszerniej za chwilę. O tym, że Stalin nie dążył do porozumienia z Polską, z jej społeczeństwem, nie będę pisał, bo chyba nie jest to dziś konieczne.

Pruszyński jednak podjął się misji przekonania, że współpraca ze Stalinem jest dla Polski nie tylko możliwa, ale także słuszna. Do tego potrzebna mu była historyczna figura margrabiego jako wzoru analogicznego wyboru sprzed osiemdziesięciu lat. Jakich argumentów używa Pruszyński, jakich chwytów retorycznych, by ukryć swój zasadniczy błąd?

Po pierwsze: szyderstwo z „następców Kościuszki” (nie miał na myśli Wandy Wasilewskiej i Zygmunta Berlinga, też się przecież powołujących na dziedzictwo naczelnika w sukmanie, ale tych tylko, którzy podtrzymują antyrosyjski wektor polskiej myśli niepodległościowej, tak jak czynił to naprawdę sam Kościuszko), szyderstwo z „dziedziców Żółkiewskiego” – czyli z tych, którzy marzą o tym, by Polska mogła z Rosją/Związkiem Sowieckim

rozmawiać jak równorzędni partnerzy¹⁷. To jest szyderstwo z całej tradycji powstań przeciw imperium rosyjskiemu, z patriotyzmu w nich ugruntowanego. Pruszyński w roku 1944 redukuje tę tradycję do pustego, żalostnego frazesu. To pierwszy krok na drodze do uzasadnienia kolaboracji z Moskwą: ukazanie, że historyczna alternatywa jest ślepy m zaułkiem, że w istocie nie ma alternatywy dla szlaku, którym poszedł Wielopolski, a teraz Pruszyński proponuje go ponownie – tyle że w stronę Stalina, a nie Aleksandra II. Kto powoływałby się na honor, na godność narodową czy indywidualną, na imponderabilia, wykluczające ugodę z imperium, które masowo prześladowało Polaków – ten, jak Zygmunt Krasiński z eseju Pruszyńskiego, był określany serią epitetów: „mroczny, mętny i nadęty”¹⁸.

Po drugie, powraca motyw samotności mędrca politycznego, który musi zdecydować za niemyślące społeczeństwo, pogrążone właśnie w owej mrocznej, nadętej i mętnej atmosferze romantycznego patriotyzmu. Wzorem takiego mędrca, jakim stał się Pruszyński, ma być Wielopolski i jego „samotność w zatęchłej głuszy, jaką była Polska”. Tą głuszą jest dla pisarza zwłaszcza polska emigracja.

Przeciwstawia jej jednak nie tylko indywidualnego herosa myśli i charakteru, który wybiera „zgodę z Rosją”, ale także bohatera zbiorowego. To sól polskiej ziemi: urzędnicy administracji księcia Paskiewicza, poskromiciela powstania listopadowego żelazną ręką w imieniu cara Mikołaja I rządzącego podbitym na nowo Królestwem Polskim od 1832 do 1856 roku. „Polacy w służbie Moskali” – potrafili, co podkreślał i doceniał Pruszyński, osiągnąć cel najważniejszy: przetrwali. To byli wytrawni administratorzy i dzięki temu „heroiczni”, nawet, jak pisze autor *Margrabięgo...*, obrońcy specyficznie rozumianej polskości. Choć ograniczani, spychani przez przyśyłanych z Rosji urzędników,

Polacy w administracji Królestwa bronili się milczkiem, uparcie, wytrwale. Dorównywali Moskalom w wiernopoddaństwie, przewyższali ich w wiedzy, rutynie, znawstwie terenu. Toteż każdorazowy namiestnik słuchał ich nawet wtedy, jeśli nie byli na naczelnych stanowiskach. [...] Może dla nich w stosunku do zaborcy twierdzą nie był każdy próg, ale na pewno była im twierdzą każda posada¹⁹.

¹⁷ Zob. tamże, s. 39, 41, 51.

¹⁸ Tamże, s. 59.

¹⁹ Tamże, s. 90.

Ta kapitalna apologia codziennej kolaboracji jako wysiłku ratowania polskości skontrastowana została z obrazem „panów szlachty z Towarzystwa Rolniczego”, którzy tylko umieli radzić i marzyć o wytępieniu „ruskiego robactwa”, ale żadnej praktycznej roli – zdaniem Pruszyńskiego i jego Wielopolskiego – w obronie polskich interesów odegrać nie byli w stanie²⁰. Margrabia mógł się oprzeć wyłącznie na kadrze urzędników polskich, lojalnych wobec Paskiewicza.

To bardzo wąska grupa. Polska opinia publiczna była skupiona po przeciwnej niż Wielopolski stronie, po stronie Towarzystwa Rolniczego i jego prezesa, hrabiego Andrzeja Zamoyskiego. Z tego Pruszyński uczynił zasadniczy zarzut wobec Polaków: że nie stanęli przy margrabim, kiedy ten sformułował w roku 1861 program ugody. I podkreślał ten zarzut supozycją, która świadczy o jego całkowitym niezrozumieniu polityki rosyjskiej. Twierdził, że gdyby Wielopolski mógł powiedzieć carowi, że stoi za nim całe społeczeństwo polskie, byłby w stanie wytargować dużo więcej ustępstw, dużo lepsze warunki ugody²¹. W istocie Wielopolski został wybrany przez cara jako narzędzie polityki wobec Królestwa Polskiego właśnie dlatego, że nikt za Wielopolskim nie stał: dlatego był narzędziem, którego można użyć w ramach zawsze aktualnej polityki imperialnej *divide et impera*. Człowieka, za którym nikt nie stoi, który ma mocną pozycję tylko dzięki nominacji otrzymanej w Petersburgu, można wykorzystać i w dowolnym momencie się go pozbyć. Tak jak Stanisław August Poniatowski nie był żadnym zagrożeniem dla Katarzyny II, kiedy ta, po sprawdzeniu go we własnym łóżu, mianowała go królem Polaków. Ta nominacja stworzyła podział i budziła opór w elitach politycznych Rzeczypospolitej – i o to chodziło imperatrowej, o ów stały konflikt, który pozwalał imperialnej Rosji odgrywać rolę mediatorki, pośredniczki, ostatecznego arbitra. Poniatowski stał się groźny, kiedy znalazł poparcie dużej części szlacheckiej opinii publicznej, budując z nią wspólnie obóz reform. Wtedy Katarzyna musiała wysłać swoje armie, by zlikwidować Rzeczypospolitą i odwołać króla, już bez korony, bezużyteczne narzędzie.

Ten prosty przykład nie przyszedł jednak Ksaweremu Pruszyńskiemu do głowy. On miał bowiem udowodnić konieczność „porozumienia” i „współdziałania” z Rosją. Dlatego musiał poprzestać na konstrukcji obrazu

²⁰ Tamże, s. 91–92.

²¹ Zob. tamże, s. 93.

samotnego polityka, który chce ratować Polskę wbrew Polakom²². Nie rozumiał, że to właśnie jest celem polityki imperialnej: żeby Polacy pozostali wyłącznie przedmiotem polityki, nie zostali potraktowani jako jej podmiot, nawet przez polskiego naczelnika rządu cywilnego (tym tytułem cieszył się przez kilka miesięcy Wielopolski). Chodziło o to, żeby utwierdzać Polaków w przekonaniu, że sami rządzić nie potrafią, że rządzić nimi muszą inni, najlepiej przysłani z Petersburga czy z Moskwy, lub też stamtąd wyznaczeni.

Pruszyński ubolewał, oburzał się nawet, że Wielopolskiego nie poparł krakowski „Czas” – że trybuna krakowskich konserwatystów i kolebka stańczyków, którzy podobnie jak Wielopolski mądrze wybrali współpracę z władzami zaborczej Austrii, nie stanęła w 1863 roku przy Wielopolskim. Ponieważ sam margrabia od dramatycznego rozczarowania polityką Austrii zaczął swój rozpaczliwy zwrot w stronę Rosji (po rzezi galicyjskiej 1846 roku, dokonanej na polskiej szlachcie nie bez poduszczenia austriackich urzędników), Pruszyński, jakby w jego duchu, posunął się do wyjątkowej insynuacji, tak typowej dla dzisiejszego dziennikarstwa rynsztokowego, ale i w 1944 roku widać możliwej. W odpowiedzi na pytanie, dlaczego „Czas” zwalczał politykę Wielopolskiego, Pruszyński pisał: „Czyżby grały tu rolę raczej dotąd przez historyków niewyśledzone? Czy nie działała tu sprytna intryga wiedeńska?”²³. A więc: nie ma żadnych dowodów, nawet poszlak, ale zawsze można postawić pytanie, czy wytłumaczeniem niewygodnej rzeczywistości nie jest tajna intryga.

Owa niewygodna rzeczywistość doprowadza nas do ważnego zagadnienia. Wybierając szkołę krakowską, pisząc jej apologię w II RP, Pruszyński nie miał żadnych wątpliwości: „konserwatyści krakowscy wiedzieli, co to jest Rosja”²⁴. To znaczy wiedzieli, że Rosja jest dla Polski śmiertelnym zagrożeniem, że wobec tego zagrożenia możliwe, a nawet konieczne jest szukanie porozumienia z innym, nieoddzielającym Polski od Europy zaborcą – z Austrią. Teraz, w 1944 roku, chciał przenieść doświadczenie współpracy, jaką zainicjował apel lojalistów galicyjskich z 1866 roku do cesarza Franciszka Józefa, na realia kolaboracji z Rosją, od której tak bardzo starali się oni odciąć i przed nią bronić. Przede wszystkim chciał te galicyjskie doświadczenia przedstawić jako wzór do naśladowania w Polsce pod rządami

²² Zob. tamże, s. 125.

²³ Tamże, s. 135.

²⁴ K. Pruszyński, *Michał Bobrzyński*, „Słowo” 1935, nr 187 [w:] tegoż, *Niezadowoleni i entuzjaści*, dz. cyt., s. 296.

zwierzchnimi Stalina. I to była manipulacja, wielokrotnie potem w PRL powtarzana przez propagandystów tego reżimu, historycznie bardzo dla krakowskich konserwatystów krzywdząca. Ich ugoda z Austrią przyniosła bowiem niewątpliwie sporo pożytecznych dla Polski ustępstw zaborcy, stworzyła wiele instytucji i swoistą przestrzeń względnej swobody, w której polskość mogła się umacniać. Było to jednak możliwe tylko w Galicji, tylko wobec Austrii, która przegrała właśnie ostatecznie z Prusami (w wojnie 1866 roku) rywalizację o przewodnictwo w Niemczech. Austria musiała uznać po tej klęsce, że nie będzie imperium niemieckim, ale wielonarodowym. Rosja tymczasem nie chciała przyjąć takiego projektu aż do 1917 roku. Istotę tej różnicy, poza wszelkimi innymi różnicami kultur politycznych, tradycji, instytucji i geopolitycznych ambicji Rosji i Austrii, najlepiej oddał wychowawca przyszłego cara Aleksandra III, oberprokurator Synodu Cerkwi Prawosławnej, Konstanty Pobiedonoscew, który stwierdził (już dwadzieścia lat po powstaniu styczniowym): „Austriacki cesarz może mówić o swoich narodach, a u nas jest jeden naród”²⁵. Polskość była, i pozostała z tego punktu widzenia aż do końca, do roku 1917, śmiertelnym zagrożeniem dla wizji rosyjskiego imperium jako państwa jednego, rosyjskiego narodu. Przeniesienie doświadczeń stańczyków i ich programu politycznego na Rosję drugiej połowy XIX wieku, a tym bardziej na Związek Sowiecki po 1944 roku – było, powtórzmy to, manipulacją. Konieczną jednak, gdy uczeń Estreichera i Bobrzyńskiego chciał nawiązać do ich autorytetu, by bronić sprzecznej z ich geopolitycznym i geocywilizacyjnym wyborem – orientacji na Rosję Stalina.

Z perspektywy klęski powstania styczniowego i fali represji, jakie spadły w jej następstwie na społeczeństwo polskie, mogło się wydawać – w 1865 czy jeszcze w 1875 roku – że Wielopolski mógł mieć rację. Wtedy przyznawali to nawet niektórzy przedstawiciele szkoły krakowskiej, choć nie ci, którzy – jak ksiądz Walerian Kalinka – rosyjską politykę znali lepiej i badali źródłowo. Z perspektywy 1918 roku, odzyskanej niepodległości, wybór Wielopolskiego był już nieuzasadniony. Nie wygrała ugoda, zwłaszcza z Rosją, wygrała niepodległość. W 1944 roku mogło się wydawać, że niepodległość znów zostanie utracona, że raz jeszcze trzeba docenić to, co próbowali robić Wielopolski czy polscy urzędnicy Paskiewicza: realizować program małej ugody, na takich warunkach, jakie da miażdżący swoją

²⁵ Cyt. za: L. Gorizontow, *Paradoksy imperskiej politiki: Poliaki w Rossiji, Russkije w Polsce*, Moskwa 1999, s. 105.

przewagą zaborca. Że jest to cały realizm, na jaki stać Polskę. Z perspektywy sierpnia 1980 roku, a potem z perspektywy roku 1989 program ugody Wielopolskiego z Aleksandrem II, a tym bardziej idea „współdziałania” ze Stalinem, opiewana przez Pruszyńskiego od roku 1944 – wydają się raz jeszcze błędem, dla niektórych nawet – hańbą.